

St. A. Wołoski

**Człowiek który
zapomniał swego
nazwiska**

Powieść sensacyjna

Stanisław Antoni Wotowski

Człowiek który zapomniał swego nazwiska

Powieść sensacyjna

Armoryka
Sandomierz

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce obraz wygenerowany przez AI
– <https://beta.dreamstudio.ai/>

Tekst wg edycji z roku 1933.
Zachowano oryginalną pisownię.

© Wydawnictwo Armoryka

Wydawnictwo Armoryka
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-7639-596-8

ROZDZIAŁ I. WYTWORNY MŁODY CZŁOWIEK, W DOMU OBŁĄKANYCH.

Potoki zachodzącego, majowego słońca, złociły drzewa i trawniki ogrodu. Park był duży, otoczony wysokim murem i sprawiał wraz ze znajdującymi się w nim budowlami wrażenie więzienia. Znajdował się w pobliżu małej stacyjki, w podmiejskich okolicach Warszawy, umyślnie zdala od innych siedzib ludzkich, aby jego mieszkańcy mieli jaknajmniej zetknięcia z zewnętrznym światem.

A przy bramie, wiodącej do parku, widniała duża tablica z napisem: „Zakład dla nerwowo chorych, Dr. W. Trettera”, dalej zaś: „Obcym wstęp surowo wzbroniony”.

Śród drzew, z poza których przebijały czerwone gmachy samego zakładu, stały dwie młode dziewczyny, w białych fartuchach pielęgniarek, obserwując chorych.

Tuż przed niemi, tam i z powrotem chodził po ścieżce starszy, niskiego wzrostu mężczyzna, łysy, źle ogolony i wymachując gwałtownie rękami, wciąż gadał do siebie. Dalej nieco, kręciła się w średnim wieku kobieta, uróżowana, w dużym, niemodnym kapeluszu, z niemodną, wypłowiałą torbą w dłoni i czyniąc przeróżne miny, przemawiała do otaczających ją sosen, niby do nadskakujących jej adoratorów. Inna natomiast, stała nieruchomo pośrodku piaszczystej alei, z wzrokiem uporczywie wlepionym w dal, rzekłbyś, wypatrując kogoś.

Ale uwaga pielęgniarek nie skupiała się na znajdujących się w ich pobliżu warjatach. Przywykły dobrze do widoku i łysego mężczyzny — wynalazcy, który wciąż bredził o swych odkryciach i do damy, ubranej niemodnie, która postradała zmysły, gdy okradł ją i porzucił daleko młodszy kochanek i do spokojnej melancholiczki, nieprzytomnej od czasu śmierci córki, nie wierzącej w tę śmierć i oczekującej wciąż, że z dalekiej podróży przybędzie z powrotem.

Wzrok pielęgniarek biegł w innym kierunku. W głębi parku spacerował samotnie wysoki, młody człowiek, najwyżej lat trzydziestu. Ubrany był w garnitur, bezwzględnie pochodzący od pierwszorzędnego krawca, a na jego bladej, bez zarostu, przystojnej twarzy, odbijała się dobra rasa. Chodził, opuściwszy głowę do dołu, niby nad czymś mocno zamyślony, nie zwracając uwagi na otaczających go obłąkanych i jakby umyślnie unikając ich.

— Spójrz na tego — rzekła niższa z pielęgniarek, trącając towarzyszkę i wskazując jej wysokiego młodego człowieka, którego wysmukła sylwetka rysowała się ostro na tle zieleni drzew — wygląda zupełnie normalnie! A gdy go o coś zapytać, odpowiada wcale do rzeczy!

Wyższa, jakoś dziwnie spojrziała na swą towarzyszkę i zniżywszy głos,

odparła:

— Tajemnicza historia... Tyś z nim rozmawiała. Przecież doktor Tretter zabronił surowo zwracać się do niego! Opiekuj się chorym sam, wraz z zaufanym pielęgniarzem.

— Dla tego właśnie, że wydaje mi się to wszystko bardzo niezwykle, upolowałam chwilę, kiedy nas nikt nie widział i zadałam mu jakieś banalne zapytanie.

— No i...

— Odpowiedział mi z ukłonem, niczem najgrzeczniejszy światowiec. Wprost, pomieścić mi się nie chce w głowie, że jest warjatem. A doktor uprzedzał, że bardzo niebezpiecznym, który świetnie umie się maskować.

— Tak... tak... — bąknęła wyższa. — Tak twierdzi doktor, tylko...

— Tylko?

— Nie!

Ale, tamta, nie dała za wygraną.

— Słuchaj! — szepnęła. — Daleko więcej wiesz, niż chcesz powiedzieć! Obawiasz się doktora? Przysięgam, że cię nie zdradzę! O naszym doktorze różnie bardzo gadają, a z tym młodym człowiekiem naprawdę cała sprawa wygląda podejrzenie. Kto tu przywiózł go? Kim jest? Przecież, w księgach zakładu nie oznaczono go nawet nazwiskiem! Figuruje, jako Nr. 210! Doktor twierdził, że podobnej tajemnicy żądała rodzina.

— Kłamie! — wyrwało się nagle wyższej. — Albo macza ręce w jakiejś brudnej aferze...

— W jakiej? — zabrzmiało niecierpliwe zapytanie.

— Dobrze! — poczęła opowiadać. — Skoro i ty domyślasz się, że tu coś nie w porządku, powtórzę ci moje spostrzeżenia. Zdobyłam je zupełnie przypadkowo. Przed kilku tygodniami, nie mogłam w nocy zasnąć. Postanowiłam udać się do kancelarji, obok której mieści się apteczka, aby przynieść jakiś środek nasenny. Ubrałam się i wyszłam. Jak wiesz, aby z domku, w którym znajdują się nasze pokoje znaleźć się w głównym gmachu, trzeba przejść aleję, prowadzącą do wjazdowej bramy. Już zdążyła uderzyć mnie warkot samochodu i wnet spostrzegłam, że Tretter, niby kogoś oczekując stoi na ganku, wraz z Antonim, tym swoim zaufanym pielęgniarzem. „Słuchaj-no, Antoni, — rozległ się przyciszony głos doktora — otworzysz bramę sam i wszystko tak urządzisz, aby nikt nie wiedział, kto tu przyjechał”!

Rozumiesz, że to mi wystarczyło. Zaczaiłam się za drzewem i oczekiwałam, co dalej będzie, a godzina dochodziła druga, w nocy.

— Ach!

— Wkrótce — brzmiało dalej opowiadanie — rozwarła się brama i do

naszego zakładu wjechał prywatny samochód. Kiedy przystanął przed gankiem, zauważyłam w nim trzy osoby. Jakąś elegancką, bogato ubraną panią, której twarzy nie mogłam rozróżnić, obok niej w średnim wieku mężczyznę, nie mniej dostatnio ubranego, ale o niemiłym i odpychającym wyrazie twarzy, no i... tego młodego człowieka. Siedział, a raczej na pół leżał na przednim siedzeniu nieruchomo i w pierwszej chwili sądziłam, że nie żyje...

— Do samochodu podbiegł Antoni i wraz z szoferem wynieśli stamtąd naszego tajemniczego pacjenta. Gdy go nieśli, zwiśla mu głowa i nadal czynił wrażenie nieboszczyka. Ponieśli go w stronę separatek, któremi opiekuje się, wyłącznie, Tretter. „Czy mogę na to liczyć, panie doktorze — rozległ się głos owej wytwornej damy, gdy pozostała na ganku z Tretterem i swym towarzyszem, owym mężczyzną o nieprzyjemnym wyrazie twarzy, — czy mogę liczyć, że prędko stąd nasz gagatek się nie wydostanie?” „Może, pani hrabina, — zabrzmiała odpowiedź — być o to całkowicie spokojna”!

— Hrabina, ją nazwał?

— Tak! Słuchaj dalej! — „Więc, nieprędko się stąd wydostanie? — powtórzył nieznajomy mężczyzna o niemiłym wyrazie twarzy. — A jeśli odzyska przytomność?” — „Tem gorzej — mruknęła dama, którą doktor przed chwilą tytułował hrabiną — wtedy jego dni są policzone”!

— Boże!

— Więcej, nic nie posłyszałam, gdyż właśnie powracali z góry Antoni wraz z szoferem, umieściwszy chorego w oddzielnym pokoju i stojący na ganku umilkli. Hrabina pożegnała się uprzejmie z Tretterem, zajęła miejsce w aucie obok swego towarzysza, szofer siadł przy kierownicy i samochód odjechał również tajemniczo, jak przybył, niezauważony przez nikogo.

— Co to wszystko znaczy?

— Wiem, tyle, co i ty i przeróżne snuć można domysły. W każdym razie, słowa owej hrabiny, że skoro młody człowiek odzyska przytomność, jego dni są policzone, niezbyt brzmia zachęcająco...

— Po kilku tygodniach, spędzonych w separacie, pod wyłączną opieką doktora i Antoniego. Dziś po raz pierwszy, doktor zezwolił na spacer w parku, ale i tak swoboda jest względna, bo zauważ, że z za krzaka wygląda Antoni i pilnuje go. Cudem wprost, udało ci się zbliżyć do tajemniczego młodzieńca i wyobrażam sobie, jaki Tretter byłby wściekły, gdyby się o tem dowiedział. Oczywiście, spostrzeżeniami tamtej nocy, nie podzieliłam się z nikim i ty pierwsza je z moich ust słyszysz. Radzę, milcz, jak grób. Dziś o posadę niełatwo.

— Kiedy... Jeśli tu coś potwornego się dzieje?...

— Cicho! Idzie Tretter... Nie patrz się nawet lepiej w tamtą stronę...

Istotnie, zdala zarysowała się okazała sylwetka właściciela zakładu. Wysokiego, tęgiego mężczyzny, silnego bruneta, o długiej brodzie, w dużych amerykańskich okularach.

Szedł powoli, niby nie patrząc na nikogo, a jednocześnie lustrując bacznie wszystko i wszystkich. Niedbale kiwnąwszy głową, minął milczące obecnie pielęgniarki, poczem, niby odniechceni obrzucił wzrokiem aleję, po której spacerował młody człowiek. Wydawało się, że nie poświęca mu większej uwagi, ale błysk, jaki padł z za okularów, świadczył, iż sprawdził doskonale, że za krzakiem czuwa, z ukrycia Antoni.

Natomiast, młody człowiek, nagle podniósł głowę i spostrzegł lekarza. Jakiś skurcz przebiegł po jego twarzy.

— Zapytam go się... Zapytam! — szepnął. — Może teraz zechce mi odpowiedzieć.

Niby poruszony niewidzialną sprężyną, rzucił się w stronę Trettera. Prawie biegł ku niemu. Doktor widocznie drgnął, lecz nie unikał spotkania. Stał zdala od pielęgniarek i chorych, więc rozmowy z młodym człowiekiem nikt nie mógł posłyszeć.

— Panie doktorze! — wyrzucił ten ze siebie, jakimś błagalnym tonem, kiedy się zbliżył. — Zaklinam pana...

Pozornie dobrotliwy uśmiech rozlał się po twarzy Trettera. Uśmiech, jakim doświadczeni lekarze witają napastujących ich warjatów.

— Cóż się stało?

— Panie doktorze! — mówił młody człowiek. — Ja naprawdę, tu oszaleję? Skąd się tu wzięłem? Gdzie jestem? Któż mnie tu umieścił? Przecież to zakład dla obłąkanych.

— Zakład, dla ludzi, którym potrzebny jest spoczynek! — wymijająco odparł Tretter.

— Ależ, panie doktorze! — prawie krzyczał. — Nie jestem warjatem! Nie jestem, nie jestem...

— Wszyscy warjaci tak o sobie mówią! — mruknął przez zęby Tretter.

Młody człowiek raptem pochwycił się za głowę.

— Straszne! Okropne! — szeptał. — Nic nie pamiętam! Nie pamiętam nawet, jak się nazywam!

— Jest pan jeszcze chory! — nagle z jakimś błyskiem w oczach wymówił Tretter.

— Nie prawda! Byłem chory, ale nim nie jestem! To pan we mnie wmawia, doktorze! Ale, zaklinam — chciał pochwycić Trettera za rękę, którą ten odsunął raptownie — zaklinam, pana, powiedz mi wszystko? Wiem, że długo chorowałem, prawdopodobnie na zapalenie mózgu. Teraz, odzyskałem

przytomność... Doskonale zdaję sobie sprawę, co się dokoła dzieje. Znajduję się w jakimś szpitalu, przeznaczonym dla szaleńców. Lecz, nie pamiętam mojej przeszłości... Kim byłem? Co robiłem? Skąd się tu znalazłem? Jak mam na imię i jak brzmi moje nazwisko? Toć nawet ktoś z mojej bielizny powycinał litery.

— Jest pan chory! — znów powtórzył Tretter i uczynił ruch, jakby pragnąc się oddalić.

Ale młody człowiek zagroził mu drogę.

— Doktorze! — zawołał prawie groźnym tonem — ja pana tak nie puszczę! Więc dobrze, jestem chory... Ale, przecież pan wie, jak się nazywam, kim jest moja rodzina, kto mnie tu umieścił? W książkach zakładu muszą figurować dane. Tymczasem odkąd od kilku dni powróciła mi przytomność, ale nie pamięć, pan nic powiedzieć mi nie chce, zbywa półsłówkami moje zapytania. A ten przekłety drab Antoni, milczy, niczem zakłęty. Toć, pańskim obowiązkiem, doktorze, jest mi to powiedzieć!

Tretter, z poza swych szkieł ogarnął młodego człowieka poważnym wzrokiem. Żaden muskuł nie drgnął na jego twarzy, gdy bezczelnie kłamał.

— Niestety — wymówił — nie mogę panu służyć wyjaśnieniami! Znalezione pana, gdy leżał nieprzytomny, koło plantu kolejowego i przyniesiono do mojego zakładu. Wiem, tyle, co i pan! Czyli nie wiem, ani kim pan jest, ani jak się nazywa.

— Niemożliwe!

— A jednak prawdziwe! Opiekuję się panem zupełnie bezinteresownie i mam nadzieję, że rychło go wyleczę. Co do reszty dopomóc nie mogę i o ile pamięć sama nie powróci, będzie pan w dość niemiłej sytuacji. Teraz, powtarzam! Jest pan chory i powinien unikać wszelkich wzruszeń. Rozumie pan to, chyba?... Tedy, przerwijmy tę bezcelową rozmowę...

— Doktorze...

Ale Tretter machnął tylko ręką, odwrócił się i jął spieszenie się oddalać. Rychło, jego masywna postać znikła wśród gęstych drzew. Młody człowiek z rozpaczy załamał ręce, a z jego piersi wydarł się jęk:

— Oszaleję... Oszaleję, otoczony temi warjatami i bijąc się wciąż z myślami własnymi! A może... Sam już zaczynam przypuszczać, że jestem warjatem!

Znów niespokojnie jął krążyć po alei. A tak był zatopiony w swe smutne dumania, że nawet nie spostrzegł, iż zdala z za zieleni kwitnących krzewów śledziły go jakieś kobiece, pełne współczucia oczy.

— Biedny, biedny! — szeptała dziewczyna w białym fartuchu pielęgniarki. — Co oni chcą z nim zrobić? Jasne jest, że Tretter zamyśla jakieś okropne łajdactwo! Ale, jak go ratować?

Raptem rozległo się uderzenie gongu. Sygnał, że chorzy mają powrócić do

swych sal, aby po spożytej kolacji udać się na spoczynek.

Rozległy się nawoływania pielęgniarzy.

Dziewczyna drgnęła i rzuciwszy młodemu człowiekowi ostatnie, jakby przepojone żalem spojrzenie, zwróciła się w stronę, powierzonych jej pieczy chorych, zakochanej damy, w niemodnym kapeluszu i cichej melancholiczki. Widziała jeszcze, jak do młodego człowieka, zbliżył się Antoni i oświadczywszy mu coś energicznie, jął go prowadzić w stronę separatek, będących pod wyłącznym dozorem dr. Trettera.

— Biedak! — powtórzyła w myślach.

W parę godzin później, gdy w zakładzie zapanowała kompletna cisza i chorzy znaleźli się, zgodnie z przepisami, w łóżkach, właściciel zakładu, dr. Tretter odbył tajemniczą konferencję z pielęgniarzem Antonim, w swym gabinecie.

— Antoni! — rzekł do zauszniaka. — Czy przyrządziłeś, dla pacjenta Nr. 210 — w ten sposób oznaczono w zakładzie tajemniczego młodego człowieka — odpowiednią miksturę?

— Tak jest, panie doktorze!

— Wypił ją?

— Prawdopodobnie! Przecież codziennie ją pije i święcie wierzy, że po tem „lekarstwie” prędko mu pamięć powróci!

Wykonał nieokreślony gest ręką. Zapewne myślał o tem samem, o czem myślała obecnie młoda pielęgniarzka. O słowach, rzuconych pamiętnej nocy przez tajemniczą hrabinę, która pacjenta Nr. 210 tu odwiozła. Wszak mówiła ona wtedy — „gdy przytomność odzyska, jego dni są policzone!”...

ROZDZIAŁ II. UCIECZKA.

Pacjent Nr. 210 leżał w swym pokoiku. Pokoik ten, aczkolwiek przyzwoicie umeblowany, był podobny do więzienia i ten, kto tam się znalazł, czuł się, niby więzień.

Na oknie więc znajdowały się grube kraty, drzwi obito grubym materacem, a od zewnętrznej ich strony umieszczono mocne rygle. Z separatki tej, przeznaczonej zazwyczaj dla furjatów, nie sposób było się wydostać i dr. Tretter wiedział, że jego pacjent jest tam zamknięty bezpiecznie. Mógł z nim robić wszystko co chciał, gdyż dzięki grubym murom i materacom na drzwiach, najśłabszy odgłos nie przedostawał się do innych pokojów.

To też, wieczorem nie zajrzał do młodego człowieka. Odwiedził go tylko, po raz ostatni przed snem, pielęgniarz Antoni, a widząc, że na nocnym stoliku, stojącym obok łóżka, stoi w dalszym ciągu nietknięta szklanka z miksturą przyrządzoną przez doktora, z niezadowoleniem zapytał:

— Dlaczego pan nie wypił?

Pacjent Nr. 210 spojrział niepewnie na pielęgniarza, drżał w łóżku, naciągnąwszy kołdrę aż pod brodę.

— Bo... bo... — bąknął — nie smakuje mi to lekarstwo. Jest gorzkie, niemiłe... Poza tem, mam wrażenie, że nie pomaga mi, a szkodzi. Czuję po niem szum w uszach, zawrót w głowie, a pamięć jakby znowu słabła...

— Nie trzeba rezonować — burknął opryskliwie Antoni, nie starając się ukryć swego rozdrażnienia — a spełniać zalecenia doktora! Głupstwa pan plecie! Tylko, dzięki miksturze, powróci pan jako tako do zdrowia...

— Kiedy...

— Proszę wypić!

Słowa te padły z ust Antoniego takim rozkazującym tonem, że młody człowiek zrozumiał, iż o ile natychmiast rozkazu nie spełni, zawartość szklanki przymusowo mu zostanie wlana do gardła.

— Ja piję! — szepnął, z widocznym przestachem, patrząc na swego oprawcę — Piję!

Pochwycił długimi, rasowemi palcami szklanekę i odwróciwszy się nieco na bok, krztusząc się, jął sączyć płyn do dna. Czynił to powoli, z widocznym wstrętem i nieraz zachłysnął się porządnie. Wreszcie szklanka była pusta.

— Proszę! — wskazał ją Antoniemu i postawił z powrotem na nocnym stoliku.

Pielęgniarz mruknął coś niewyraźnie, poczem odwrócił się i nie życząc nawet pacjentowi dobrej nocy opuścił pokój.

— Będzie spał, jak zabity! — mamrotał, zasuwając ciężkie rygle — a jutro będzie chodził ogłupiały. Jeśli, wogóle, wstanie z łóżka... Ja, zato dziś mogę sobie pofolgować, bo napewno nie zbudzi mnie w nocy...

Młody człowiek pozostał sam.

Chwilę leżał nieruchomo, zamknąwszy oczy i niby nad słuchując, czy nie powróci Antoni. Wreszcie, gdy żaden szmer, po dłuższym upływie czasu, nie zwiastował tego powrotu, porwał się ze swego posłania. Zdziwiłby się bardzo teraz pielęgniarz, gdyby mógł spostrzec, że jego pupil jest całkowicie ubrany.

— Wszystko tu straszne! — szeptał. — Nie podoba mi się w tym zakładzie! I ten Antoni, z miną zbója i ten doktor, który choć twierdzi, że nie wie kim jestem, wyraźnie unika mego wzroku! I to lekarstwo, po którym bezwzględnie mi gorzej... Nie odzyskuję po niem pamięci, a raczej ją tracę... To też, postanowiłem dziś uczynić próbę. Wylałem je za poduszkę...

Spojrzał na dużą, mokrą plamę, doskonale teraz widoczną na łóżku, z poza odsuniętej kołdry.

— Zrobiłem próbę! — szepnął dalej. — Przekonam się, jak się poczuję, bez lekarstwa... Bo, kim jestem? Jak się nazywam? Czemu mnie tu osadzono? Straszne, potworne, okropne...

W podnieceniu, przeszedł się kilkakrotnie po pokoiku, poczem zbliżył się do okna i przywarł rozpalonem czołem do zimnych, osłaniających je krat. Zdała widniało niebo usiane gwiazdami, a po niem płynął jasno księżyc, niby korab po bezkresnych dalach morza.

Ale młodego człowieka nie zaprzętał teraz obraz pięknej, letniej nocy.

— Kim byłem? — powtarzał z rozpaczą. — Chwilami, wydaje mi się, że mieszkałem na wsi w jakimś pałacu. Chwilami, że w mieście, w marnej izdebce... Wydaje mi się, że zaszły tam rzeczy straszne... Ktoś okropnie uderzył mnie w głowę, chciał zamordować... Lecz może to tylko sen, bo dziwne sny wciąż mnie trapią? Czy, obecnie jestem człowiekiem normalnym, czy warjatem... Wszak znajduję się w domu zdrowia... Jeśli nie zwarzowałem, to zwarzuję... Przecież, przypomina mi się, jak przez mgły, że czytałem w jakiejś książce, iż najpewniejszym sposobem doprowadzenia zdrowego człowieka do obłądu, jest umieścić go wśród warjatów...

W bezsilnej rozpacz, szarpnął kratami, o które stał wsparty.

— Co dalej? Co dalej?

Może długo jeszcze snułby swe niewesołe rozmyślenia, gdyby wtem nie przerwał ich niespodziewany wypadek.

Z za drzwi, rozległ się cichy skrzyp. Powoli odsuwanych rygli.

— Boże! — jęknął z przerażeniem. — Jeżeli Antoni spostrzeże, że jestem ubrany i nie wypilem lekarstwa, będę zgubiony!

Jednym susem, znalazł się z powrotem na swem posłaniu i wysoko naciągnął kołdrę pod brodę. Jednocześnie starał się zakryć sobą płamę, widniejącą na poduszce.

Wpijał się wzrokiem w drzwi. Zdziwiło go tylko, że rygle ktoś odsuwa ostrożnie, a nie ze zgrzytem, jak zwykle to czynił pielęgniarz. Nagle, zdumienie rozlało się na jego twarzy.

W otwartych drzwiach ukazała się postać kobiety, — młodej dziewczyny, w białym fartuchu. Mógł ją doskonale rozróżnić, dzięki umieszczonej wysoko pod sufitem, nieco tylko na noc przyciemnianej, elektrycznej lampce. Widział przed sobą wcale przystojną pielęgniarkę, na której twarzy rysował się wyraz niepokoju i współczucia.

— Zmieniła pani Antoniego? — zapytał z zadowoleniem, sądząc, iż miast ponurego draba, wyznaczył mu do opieki dr. Tretter tę ładną i sympatyczną osobkę.

Ale dziewczyna położyła palec na ustach.

— Cs... — szepnęła. — Niechaj pan mówi ciszej. Nie przybywam tu w oficjalnym charakterze! Przybywam, aby go ratować!

— Mnie ratować?

Zamknęła drzwi za sobą i zbliżywszy się do łóżka, tłumaczyła zniżonym głosem:

— Wiem, że zagraża panu poważne niebezpieczeństwo! Jak pan się nazywa? Gdzie mieszkają pańscy krewni, lub przyjaciele?

Z rozpaczą załamał ręce.

— Pani! — zawołał do młodej osobki, nabrawszy do niej całkowitego zaufania. — Gdybym ja to wiedział! Od kilku dni, kiedy odzyskałem przytomność, stwierdziłem z rozpaczą, że straciłem całkowicie pamięć. Sam nie wiem, ani jak się nazywam ani kim jestem! A ten przebrzydły doktor twierdzi, że nie może mi w tej sprawie dopomóc, bo znaleziono mnie przypadkowo w pobliżu toru kolejowego.

Dziwny cień przebiegł po twarzy przystojnej pielęgniarki. Podobne zaniki całkowitej pamięci, nie były z literatury jej obce, a to co posłyszała, potwierdzało całkowicie jej poprzednie przypuszczenia.

— Tretter kłamie! — wymówiła z podrażnieniem, — kłamie świadomie, gdyż uczestniczy w jakimś uknutym przeciw panu spisku. Przywiozła tu pana prywatnem autem jakaś pani, którą tytułowano hrabiną.

— Nie znam żadnej hrabiny!

— Towarzyszył jej mężczyzna, o niemiłym wyglądzie i drapieżnej twarzy...

— Również nie znam nikogo!

Zwątpienie przemknęło w jej oczach.

— Nic sobie pan nie przypomina? Osoby, które opisałam nie budzą żadnych wspomnień z poprzedniego pańskiego życia?

— Nie... nie... — zawołał. — Nie... Najmniejszego wątku... Hrabina... Mężczyzna... Wszystko mi to jest całkowicie obce... Powtarzam pani, wciąż doznaję uczucia, że na moim mózgu, co do ubiegłych wypadków, leży jakaś mgła, której nie jestem w stanie przebić...

Chwilę zaległo milczenie.

— Ha, trudno! — szepnęła po pauzie. — Jeśli pan nawet nic nie pamięta, inaczej należy sobie dać radę. Przekonałam się ostatecznie, że jest pan całkowicie normalny, a tu, w tym zakładzie, nie wolno panu pozostawać ani chwili...

— I ja — przywtórzył — wyczuwam nieuchwytnie niebezpieczeństwo!

— Proszę uważać dalej! Owa hrabina, ktoś podsłuchiwał rozmowę — nie wspominała, że otrzymała te informacje od swej koleżanki — oświadczyła wyraźnie Tretterowi, że gdy pan odzyska przytomność, pańskie dni będą policzone... A Tretter ją zapewnił, że żywy pan się z tego zakładu nie wydostanie...

— Rozumiem! — wykrzyknął, przypominając sobie ową miksturę. — Wszystko pojmuję! Wie pani, dlaczego jestem ubrany i z nią rozmawiam. Sam powziąłem podejrzenia. Pielęgniarsz Antoni, z polecenia doktora, zmuszał mnie prawie siłą do przyjmowania jakiegoś lekarstwa — wskazał na pustą szklanekę, znajdującą się na nocnym stoliku — a po tem lekarstwie, stale mi było gorzej, nie lepiej i znów zanikała pamięć. Dziś, gdy podsuwał tę miksturę, udałem, że ją piję, a w rzeczy samej wyplułem ją z ręcznikiem za poduszkę... Ot, jeszcze tu znajduje się plama...

Teraz, nie potrzebuje się dłużej ukrywać, porwał się z łóżka. Obrzuciła wzrokiem jego zgrabną postać, stwierdzając z zadowoleniem, że w każdej chwili może być gotowy do wyjścia.

— Zagraża mi więc niebezpieczeństwo — mówił tymczasem — i moje dni są policzone. Jak się ratować, co czynić? Nie wszystko to jeszcze, że nie połknąłem trującej mikstury... Jutro, nie wiem, czy uda mi się ten podstęp...

— Co czynić? — rzuciła krótko — Uciekać!

— Uciekać? — powtórzył. — Toć ten zakład to istne więzienie! Łatwo stąd się nie wydostanę?

Ona położyła dłoń na jego ramieniu. Patrzyła nań, jak patrzy na nieszczęśliwego brata, szczerze przywiązana, dobra siostra.

— Przewidziałam wszelkie trudności — oświadczyła — i teraz, zdarza się taka okazja, jaka nie prędko się powtórzy, Antoni, sądząc, że pan zażył lekarstwo i zasnął, zaryglował pana starannie, a sam upił się do nieprzytomności,

bo czuje stały pociąg do butelki. Leży w sąsiednim pokoju i chrapie, nawet anioł nie zbudziłby go na Sąd Ostateczny. Dlatego, swobodnie mogłam przedostać się do pana, bo przyznaję się, że zaciekawił mnie jego los...

— Co prawda, nie sądziłam, że pan całkowicie stracił pamięć, ale gdy tu szłam, już powzięłam zamiar dopomożenia mu do ucieczki. Powtarzam, Antoni chrapie, w oknach mieszkania doktora Trettera jest ciemno i oddawna śpi na górze. Będziemy mogli prześlizgnąć się swobodnie... Wyprowadzę pana boczną furtką... Jest pan ubrany, wszystko znakomicie się składa...

Przyszedł mu nagle skrupuł do głowy.

— Ale, — zapytał — czy panią nie spotka za to duża przykrość?

— Najmniejsza! — odrzekła. — Tretter nabierze przekonania, że to Antoni zapomniał zasunąć rygle, po pijanemu. Antoni przeżyje kilka niemiłych chwil, co mu zresztą, oddawna należy... Nie traćmy czasu i chodźmy...

— Chodźmy! — powtórzył młody człowiek z radosnym błyskiem w oczach. — Pani jest, doprawdy aniołem!

Nie zwróciła uwagi na ten szczery wykrzyknik, podeszła do drzwi i otworzyła je. Obrzucił, po raz ostatni wzrokiem swój niewielki pokoik, jakby sprawdzając, czy czego nie zapomniał, lecz wnet się uśmiechnął. Prócz ubrania, kapelusza i chusteczki do nosa, przecież nie posiadał innego majątku.

Raźno podążył za swą wybawicielką.

Następny pokój był ciemny, lecz dobiegło z niego głośnie chrapanie. W półmroku dojrzał rozwalonego na ceratowej otomanie pielęgniarza, który spał z otwartymi ustami.

Później jeszcze jakiś pokój, w którym pachniało chloroformem. Potem schody — i ręka młodej dziewczyny pochwyciła go za ramię.

— Ostrożnie! Kilka stopni! Już jesteśmy na dole!...

Nacisnęła klamkę i znaleźli się w parku. Owiało ich ciepłe powietrze majowej nocy, a drzewa otaczające dom zdawało się, szeptały radośnie:

— Bogu dzięki... Bogu dzięki...

Najcięższa część zadania została spełniona. Ale, należało jeszcze, dotrzeć do furtki, otwierającej całkowitą drogę do swobody. I to powiodło się znakomicie, nawet żwir nie skrzypiał pod ich stopami, gdy szli do parkanu, okalającego zakład dr. Trettera. W oknach domku stróża było ciemno, a kręcący się tam pies, widocznie dobrze znając pielęgniarkę, począł się do niej łąsić.

Klucz, na szczęście, tkwił od wewnątrz, w zamku furtki. Lekko skrzypnął jeno, gdy przekręcała go powoli.

— Jest pan wolny — szepnęła, szeroko otwierając furtkę i wskazując na dróżkę, ciągnącą się wśród pól. — Za tą ścieżką, znajduje się lasek. Gdy pan go minie, ujrzy pan zdale światła kolejowej stacji... A później, sama nie wiem, co

mu radzić...

— Pojadę do Warszawy — rzekł, aby ją pocieszyć, pojmując, iż choć odzyskał wolność, sam nie wie teraz, co począć ze sobą. — Tylko...

Zrozumiała. Wyjęła z kieszeni fartuszka jakiś zwitek i prawie siłą wetknęła mu go do ręki.

— Zabrałam to ze sobą na wszelki wypadek! — wymówiła. — Toć nie ruszy się pan nigdzie bez pieniędzy...

Zawahał się.

— Doprawdy, pani... Jak mogę przyjmować podobnej ofiary od nieznajomej... Chociaż, nie jest pani dla mnie nieznajomą... Znamy się zaledwie godzinę, a uczyniła więcej, niż rodzona siostra... Kiedy i czem odpłacę się jej za to...

Mimo mroku nocy, spostrzegł, że czerwień lekko zabarwia jej policzki.

— Głupstwo! — szepnęła. — Skromna pożyczka! Żałuję, że nie mam więcej! Odda mi pan, kiedy zechce! Nie potrzebne mi są te pieniądze...

Milczał chwilę, ujęty niezwykłą szlachetnością jej postępowania.

— Pani — wymówił wreszcie, przypomniawszy sobie, że nawet nie zna jej nazwiska, ani imienia. — Czy wolno choć wiedzieć, komu zawdzięczam moje ocalenie?

— Nazywam się Janina Korycka! — zabrzmiała odpowiedź. — Czy panu tak koniecznie do szczęścia potrzebna była ta wiadomość?

— Ależ wciąż o tem tylko myślę, jak...

— A ja myślę — przerwała — w jaki sposób pan sobie w Warszawie da radę? Nie łatwa sprawa... Proszę sobie zapamiętać, co powiem. Gdyby panu było bardzo ciężko i źle, na Czerniakowskiej pod Nr. 308 mieszka moja matka. Odwiedzam ją stale w niedzielę, gdyż te dnie mam wolne...

— Pani Korycka! Czerniakowska 308! — powtórzył.

— Tak! Może pan zapamięta! Dziś mamy poniedziałek, raczej wtorek, bo już północ minęła... Za pięć dni więc będę u matki. Wtedy, znów służę wszelką pomocą...

— Panno Janino! Panno Janeczko! — stawię się napewno! Choć po to, aby panią zobaczyć...

Może jeszcze zamieniliby kilka słów, lecz wtem jakiś podejrzany szmer zwrócił ich uwagę. Na szczęście, tylko gałąź opadła z któregoś drzewa, ale szelest ten przypominał im, że niezbyt jest bezpiecznie, przedłużać w obecnych warunkach rozmowę.

— Niech pan już idzie! — szepnęła.

Ucałował jej drobną rączkę i począł się oddalać z żalem. Jakże bliską mu była ta śliczna dziewczyna, jego nieoczekiwana wybawicielka.

Ona tymczasem, ostrożnie zamknęła furtkę i cicho przekreśliła z powrotem

klucz w zamku. Poczem, skręciła umyślnie w boczną, ciemną aleję, by niespostrzeżenie dostać się do domku, w jakim znajdował się jej pokój.

— Jak sobie poradzi? — rozważała. — Wszak nie pamięta nic! Bez nazwiska, bez przyjaciół, bez pieniędzy? Toć wetknęła mu do ręki zaledwie grosze... Może do niedzieli coś wymyślę, a on do tego czasu nie zginie...

Nie spostrzegła nawet panna Janeczka, że osoba nieznajomego młodego człowieka, poczyniała ją interesować coraz więcej.

I to nie ze względu, że dopomogła mu do uniknięcia prawie pewnej śmierci, — a przez wzgląd na jego bladą, smukłą twarz i wielkie, niebieskie, marzące oczy.

— Zobaczmy! — szepnęła, rozbierając się powoli i kładąc do łóżka, gdy niespostrzeżenie dla nikogo, bez żadnych przeszkód, powróciła do swego pokoiku; znajdującego się w pawilonie pielęgniarok — Zobaczmy!

Tymczasem, młody człowiek — były pacjent Nr. 210 zakładu dr. Trettera — szybkim krokiem podążał w stronę stacji.

Szczęśliwie minął dość gęsty, sosnowy lasek, później dużą łąkę, tonącą w poświacie srebrzystych promieni księżycy — i wnet zarysował się przed nim szeroki kolejowy tor, a tuż przy nim niewielki, drewniany, słabo oświetlony budynek.

— Kochana dziewczyna! — pomyślał z rozrzewnieniem, chowając zpowrotem banknoty i srebro do kieszeni. — Złota Janeczka! Może to jej całomiesięczny zarobek? Sobie, lub matce od ust odjęła, by mnie ratować? Czem się odpłacę za tyle dobroci i poświęcenia?

Przystanek! Wdrapał się na nasyp, przeskoczył przez szyny i zatrzymał się w pobliżu pierwszej napotkanej latarni. Wyciągnął zwitek, wetknięty mu prawie siłą do ręki przez pielęgniarok, pannę Janinę i przeliczył pieniądze. Były tam cztery papierki dwudziestozłotowe i dwie srebrne dziesięciozłotówki, razem sto złotych.

Chwilę stał w zadumie, poczem jakby przypomniawszy sobie, że nie wolno mu poddawać się słabości, drgnął i energicznie ruszył naprzód. Śmiałym krokiem wszedł do stacyjnego budynku i rozejrzał się po małej salce, zawieszanej rozkładami jazdy oraz różnobarwnymi reklamowymi plakatami. Była całkowicie pusta, a w jej głębi jasno migąło okienko — z napisem „Kasa”.

— Czy prędko odchodzi — zapytał, możliwie obojętnie zaspanego kasjera — pociąg do Warszawy?

— Osobowy! Za dziesięć minut! posłyszał odpowiedź.

— Chwała Bogu! Za dziesięć minut! — mało nie wykrzyknął głośno. — A o której przybywa na miejsce?

Kasjer spojrział na ścienny zegar. Ten wskazywał kwadrans po północy.

— Jedzie się niecałe pół godziny! — mruknął. — Będzie pan przed pierwszą!

— Proszę o bilet drugiej klasy!

Z biletem w kieszeni, wyszedł przed budynek i odetchnął głęboko. Obawiał się najwięcej, że może na najbliższy pociąg przyjdzie mu czekać wiele godzin, a przez ten czas jego ucieczka zostanie zauważona.

— Tylko, dziesięć minut! — powtórzył w duchu z radością. — Dziesięć minut, a później...

W podnieceniu, oczekując na pociąg, jął się przechadzać wzdłuż szyn kolejowych. W rzeczy samej, ruch, jaki niezadługo zapanował na stacyjce świadczył, że rychło nadejdzie pociąg. Gdy przedtem wydawała się całkiem obumarła i pusta, teraz pojawił się dróżnik z zaświeconą latarką a kędyś z mroku wypłynął starozakonny kupiec, w długim chałacie w towarzystwie grubej, otulonej w chustkę żydówki, oboje z ogromnymi kosztami. Dalej, od strony pola, wesoło pogwizdując, wędrowało trzech jakichś podmiejskich andrusów, zapewne, by przez ciekawość asystować przy odejściu pociągu.

— Poczęstowałyby nas hrabia, papierosem! — odezwał się jeden z nich, kiedy z nim się zrównali. — Hrabia jedzie do Warszawy, to tam se kupi! A my palim ostatnie i nie dostaniem już na tej stacyjce, bo bufet zamknięty!

— Nie mam papierosów! — odciął krótko, gdyż istotnie ich nie posiadał.

— Te! Taki fajno ubrany, a taki skąpy...

Odszedł o kilka kroków dalej, nie chcąc być narażonym na dalsze zaczepki. Andrusy popatrzyli za nim w ślad, lecz widocznie, wywnioskowawszy z jego miny, że nie przydadzą się na nic natarczywe nawet prośby, pozostawili go w spokoju i usiedli na ławce, może w oczekiwaniu innej ofiary.

— Jenszy frajer dulcem wygodzi... Nie ten, wydymany...

Puścił mimo uszów epitet i wyglądał pociągu. Jeszcze kilka minut, a zniknie stąd bezpowrotnie i nigdy nie ujrzy przekłętego zakładu dr. Trettera. Jeszcze kilka minut, a znajdzie się w przedziale pociągu, by rozpocząć z życiem nową walkę.

— Lecz, cóż to?

Gdy wydawało mu się już, iż zdala połyskują olbrzymie ślepiea zbliżającego się pociągu, wtem drugi szczegół zwrócił jego uwagę.

Noc była jasna, księżycowa. Zdala spostrzegł, iż łąka, ta sama, którą on przebył, udając się na stację, biegnie jakiś człowiek. Biegnie, wymachując rękami, a jego postać dziwnie mu jest znana.

— Tretter? — mało nie wykrzyknął z przerażeniem. — Czyżby się mylił?

Nie, napewno. Tretter!

Zadygotało w nim wszystko. Więc, gdy ledwie kilka minut dzieliło go od ocalenia, znów miał wpaść w szpony doktora? Zauważył ucieczkę i sam tu biegnie, aby go pochwycić. Co czynić? Zrezygnować z zakupionego biletu i wśród mroków nocy szukać ocalenia? Lecz Tretter, nie da za wygraną, narobi na stacji alarmu, rzuca się za nim.

— Co robić?

Tymczasem, Tretter zbliżał się coraz bardziej. Istotnie, sam rzucił się w pogoń, gdy odwiedziwszy w nocy, celę pacjenta Nr. 210, zastał ją pustą, a obok niej pijanego do nieprzytomności, pielęgniarza. Rzucił się, jak stał, bez marynarki i kapelusza, nie chcąc tracić sekundy czasu i nie zabrawszy nikogo do pomocy ze sobą z zakładu. Może nie chciał w drażliwą sprawę wtajemniczać innych, może sądził, że i tak sobie poradzi. Tedy, biegł na pół ubrany, zziębnięty, z rozwianymi włosami i brodą, niby sam oszalał, a na jego twarzy odbijało się przerażenie, że z rąk może mu się wymknąć ofiara.

— Łapajcie! Trzymajcie! — ryczał zdala i śnać musiał poznać młodego człowieka, bo wyciągał rękę w jego kierunku.

— Co począć?

Tretter już przeskakuje przez szyny kolejowe i wnet tu się znajdzie. A z drugiej strony, teraz naprawdę nadchodzi pociąg, słychać dudnienie kół i odległy gwizd maszyny. Ale Tretter przybędzie przed pociągiem, zanim zdąży doń wskoczyć...

— Co robić?

Czuł, jak chłodny pot rosi mu czoło. Lecz, raptem niespodziewana myśl, niczem błyskawiczna, przemknęła w jego głowie.

— Słuchajcie! — zawołał, podbiegając do siedzących na ławce trzech andrusów. — Chcecie zarobić pieniądze?

Andrusy, którzy mierzyli go dotychczas wzgardliwymi spojrzeniami, ożywili się nagle, a jeden z nich nawet powstał z ławki.

— Pieniądze? — mruknął — Czemu nie? Zawsze przyda się forsa!

— Widzicie — prędko tłumaczył, wskazując na biegnącego wzdłuż plantu Trettera — widzicie tego mężczyznę z potarganą czupryną i zwichrzoną brodą? To warjat! Mój pacjent! Uciekł z zakładu dr. Trettera! Słyszeliście pewnie o tym zakładzie? Jestem tam lekarzem.

— Co nie mamy znać? To pan tam je doktor?

— Tak! tak!... Uciekł, bo inaczej nie pojmuję, skąd znalazł się na wolności! A ja nie mam czasu nim się zająć i muszę natychmiast jechać do Warszawy! Tedy dam wam dwadzieścia złotych — mignął, wyciągniętym z kieszeni banknotem — zwiążcie go i odstawcie do sanatorium! A gdyby stawiał opór, nie krępować

się... — wykonał energiczny ruch ręką, niby kogoś porządnie zdzielał po łbie.

— To si wi! — z porozumiewawczym błyskiem w oczach przytwierdziły andrusy.

— Niebezpieczny warjat! — szybko rzucał dalej. — Wszystkich nazywa warjatami. A sam siebie uważa za naczelnego lekarza, dr. Trettera! Ciągłe się rzuca i ludzi goni! O, słyszycie, jak wrzeszczy?

W rzeczy samej, dr. Tretter pędem biegł w ich stronę, wydając głosem okrzyki. Jakże nie miał pędzić, gdy jego zbieg, stał o kilkanaście kroków przed nim, rozmawiając z jakimiś oberwusami. Dziwiło tylko doktora, że mimo, iż ten spostrzegł, nie ucieka, a spokojnie nań oczekuje. Utwierdziło to Trettera jednak w mniemaniu, że tem łatwiej uda się go pochwycić.

— Trzymajcie! — ryczał, ile w piersi starczyło sił. — Trzymajcie warjata!

Wygląd doktora na tyle był niezwykły, iż andrusom na chwilę nawet nie przyszło do głowy, że nie jest on szaleńcem. Wszak widzieli mężczyznę, pędzącego bez marynarki, z potarganą czupryną i wykrzywioną z wściekłości twarzą, nienaturalnie wymachującego rękami — podczas, gdy obok nich stał wytwornie ubrany pan, całkowicie zasługujący na zaufanie. A banknot dwudziestozłotowy wywierał nieodparty, magiczny wpływ.

— Co będziem czekać? — syknął wyższy z łobuzów, prawie wrywając papierek z dłoni młodego człowieka. — Jazda, chłopaki, na warjata...

Dr. Tretter prawie znajdował się przy nich. Jego ręka już wyciągała się, by pochwycić za kołnierz zbiega...

— Łapcie, łapcie... — wołał.

Wtem stała się rzecz nieoczekiwana. Jeden z andrusów podstawił nogę i szanowny właściciel zakładu dla nerwowo chorych, runął na ziemię, jak długi. W tejże chwili, dwaj inni, siedli mu na piersiach, unieruchamiając go całkowicie.

— Czyście oszaleli? — zdążył wybełkotać, zaskoczony niespodziewaną napaścią.

Tymczasem młody człowiek wołał:

— Nie zważajcie na to, co będzie gadał! Będzie w was wmawiał, że jest dr. Tretterem! Odprowadźcie go siłą do lecznicy, tam was dodatkowo wynagrodzą... Pielęgniarsz Anto...

Reszta zdania utonęła w potężnym hałasie. To pociąg z szumem i świstem wpadł na stację.

— Wsiadać! — rozległ się głos konduktora. — Pół minuty tylko zatrzymuje się pociąg.

Tretter rzucał się niby ryba na piasku.

— Puście! Puście! — wył prawie. — Przecież on...

Młody człowiek już wskoczył do przedziału drugiej klasy. Zatrzasnął za sobą drzwiczki. Przedział był pusty. Szybko opuścił okno.

— Kłaniajcie się odemnie pielęgniarzowi Antoniemu! — krzyknął w stronę skłębionej grupy.

Rozległ się gwizd. Pociąg ruszył, a twarz młodego człowieka po raz pierwszy od wielu dni rozjaśnił uśmiech.

— Wyobrażam sobie, co tam będzie się działo! — szepnął.

Znikł już pociąg w nocnym mroku, a dr. Tretter wciąż szarpał się i wrywał z rąk swoich oprawców.

— Dranie! Skurczybyki! Zbóje! — ryczał. — Coście narobili! Uciekł mi warjat! Jestem doktor Tretter!

Ale oświadczenie to wywołało tylko chóralny śmiech andrusów.

— Gadaj zdrów! — kwiczeleli z radości. — Warjat odstawia doktora! Nie zbujasz nas, bratku! Idziesz sam do zakładu, czy mamy po szyi przyłożyć?

— Psubraty! Łajdaki! — dalej ryczał. — Jestem, naprawdę dr. Tretterem! Puście mnie w tej chwili! Choć telegraficznie zarządzę pogoń!

Lecz, próżne były wszelkie tłumaczenia i protesty. Nawet dróżnik, przyglądający się tej scenie, uśmiechał się tylko, przekonany, że łobuzy ciągną do zakładu zbiegłego z tamtąd warjata, chcąc zań otrzymać sowite wynagrodzenie. Dr. Trettera nie znał, a nawet gdyby go znał, nie poznałby go w tym wytarzonym w piasku mężczyźnie.

Wreszcie, dr. Tretter, otrzymawszy szereg porządnych szturchańców i bez żadnego respektu ciągnięty za swą wspaniałą sino-czarną brodę, wciąż rycząc i broniąc się, niesiony prawie przez trzech silnych, młodych chłopaków, znalazł się w swym zakładzie.

— Dranie! Dranie! — wył, gdy wyjaśniła się sytuacja. — Za dwadzieścia złotych, daliście uciec prawdziwemu warjatowi, a mnie wytarzaliście w piasku! Toć dałbym wam dwieście, gdyby stało się odwrotnie.

Łobuzom przeciągnęły się miny. Nie śmieli już żądać, przyobiecanej im przez rzekomego „lekarza”, dodatkowej nagrody za „dostarczenie do zakładu warjata”.

ROZDZIAŁ III. TAJEMNICZY NIEZNAJOMY.

Rychło znalazł się na ulicy Marszałkowskiej. Było po pierwszej, lecz dzięki pięknej, letniej nocy, snuli się tam jeszcze liczni przechodnie. Jaskrawo strzelały ku gwieździstemu niebu reklamy świetlne, a szeroko otwarte wejścia do barów, niby zapraszały do siebie. W pobliżu Dworca krążyły dziewczyny uliczne o umalowanych, bezczelnych twarzach, polujące na przyjezdnych, a potajemni handlarze wódki, pocichu proponowali swój towar. Pulsowała stolica swem odrębnym życiem nocy i ludzi mroku.

Wyminął obojętnie i zaczepiające go dziewczyny i zaczepiających przekupniów. Mimowoli skręcił w Aleję Jerozolimską, a dopiero, gdy owiał go letni, biegnący od Wisły wiaterek, cicho szepnął:

— Warszawa... Warszawa...

Szedł powoli, uważnie przyglądał się kamienicom. Wszystko wydawało mu się dziwnie znane, a jednocześnie nieznanie. I te światła neonowe, umalowane twarze dziewczyn. Wydawało mu się, że jest w jakimś mieście, widzianem we śnie i że z tego mglistego obrazu zatarły się bliższe szczegóły.

— Chyba byłem tutaj?

Raptem, dojrzał przecinającą jego drogę boczną ulicę.

— Bracka! — prawie głośno zawołał.

Podbiegł do znajdującej się na rogu tabliczki i z radością stwierdził, że się nie mylił.

— Więc Bracka... A później Nowy Świat... Tak, Nowy Świat... Tedy, znam Warszawę...

Lecz poryw nadziei rychło zgasł i próżno dalej natęzał swój umysł. Jeśli, w pierwszej chwili sądził, że skoro rozpoznaje ulice, wnet sobie przypomni w jakich okolicznościach tu bawił, przypomnienie to nie następowało i znów z rozpaczą stwierdzał, że nie jest w stanie nic pochwycić ze swego poprzedniego życia. A jednak, przysięgłby, że nieraz chodził właśnie tą drogą, wśród okalających chodniki drzew, odwiedzał znajdujące się tu cukiernie i restauracje, w pobliskich sklepach czynił zakupy. A dalej... nic...

Luka... Przekłeta luka...

— Boże! — jęknął — Co za męka? Kim jestem? Co robiłem? Jak się nazywam?

Wtem, przystanął. W związku z temi dręczącymi myślami, nasuwała się nowa troska.

Uciekł z zakładu dr. Trettera, nie mogąc ani chwili dłużej, w obawie o swe życie, tam pozostać. Uciekł do Warszawy. Lecz, cóż dalej pocznie on, człowiek

bez nazwiska, posiadający w kieszeni ledwie kilkadziesiąt złotych.

— Dokąd się udać?

Gdyby miał jakikolwiek dowód osobisty, najprostsze byłoby teraz wynaleźć hotelik i w nim zamieszkać. Wszak z setki, otrzymanej od panny Janeczki pozostanie prawie złotych osiemdziesiąt, a sumka ta, przy skromnym życiu, starczyłaby na pewien czas, póki nie znalazłaby się inna rada. Ale, nie posiadając żadnego dokumentu, nie mógł się udać nawet do najgorszego zajazdu, czy też ostatniorzędnych pokojów umeblowanych. Odmówionoby mu noclegu i wzbudziłby podejrzenia. A władze? Władze, zapewne, uwierzyłyby nie jemu i jako zbiegłego warjata, odstawionoby go do zakładu dr. Trettera zpowrotem.

Co pocznie? Dokąd się obróci? Bez znajomych przyjaciół? Czyż jego sytuacja, w tej ludnej stolicy nie przypomina zupełnie położenia rozbitka, który znalazł się sam, pośród burzliwych wód oceanu i nie ma, do kogo wyciągnąć ręki o pomoc?

Znów, chłodny pot zrosił czoło, jak wówczas, gdy ujrzał dr. Trettera, biegnącego w stronę małej stacyjki, aby go pochwycić.

— Co dalej?

Przyszłość przedstawiała się beznadziejnie, a trudności które wydawały się łatwe do pokonania i nad którymi się nie zastanawiał, kiedy uciekał, wyrastały obecnie, niczem niezwalczona przeszkoda.

Wtem, znów zbawienna myśl nawiedziła jego głowę. Nie podda się zwątpieniu, lub rozpacz. Jest wyjście. Skoro tyle zawdzięcza panie Janeczce, niechaj jej dobroć wykorzysta do końca. Uda się jutro do matki, dobrze zapamiętał adres — Czerniakowska 308 — i wszystko wyzna. Będzie błagał o ratunek. Musi być równie dobra i szlachetna, jak i córka. Wejdzie w jego położenie, dopomoże w odnalezieniu mieszkania, chwilowej, bezpiecznej kryjówki. Toć stan nie może przedłużać się wiecznie i pamięć kiedyś powróci. Jak przypomina sobie ulice w Warszawie, przypomni sobie i kim był i co robił. A musiał wszak coś znaczyć na świecie, skoro jakiejś hrabinie aż tak zależało na jego śmierci, że oddała go do zakładu dr. Trettera, w niedwuznacznym celu pozbawienia życia.

Tedy, głupstwo! Chodzi tylko o dzisiejszą noc! A jutro!

Lecz, co teraz czynić? Trudno, spacerować ulicami całą noc, lub na ławce, jak włóczęga, szukać spoczynku. Z wielu względów, byłoby to niebezpieczne.

Jego wzrok padł na jasno oświetlone wejście jakiejś restauracji, którą właśnie mijał. Działo się to na Nowym Świecie, dokąd bezwzględnie skręcił z Aleji Jerozolimskiej. Restauracja była pierwszorzędna, zapewne, otwarta do rana, taka właśnie, jakiej szukał i w której mógł posiedzieć jaknajdłużej.

Bez wahania, wszedł do rześcicie oświetlonego hall'u, a stamtąd, po schodach do wielkiej, białej ze złoceniami, sali na pierwszym piętrze.

Uderzył go gwar licznych głosów i skoczna muzyka, a zewsząd witały go uniżone ukłony służby. Nic dziwnego. Garnitur miał w stanie jeszcze wcale niezłym i skrojony przez pierwszorzędnego krawca, a w twarzy i ruchach przebijała się piękność i jakby przyzwyczajenie do rozkazywania. Dziwniejsze było natomiast, że gdy wszedł, kilka osób jęło mu się przypatrywać niemal natarczywie, a na czerwonych wargach jakiejś eleganckiej, świetnie uszminkowej damy, wyraźnie zawisło zapytanie:

— Czyżby go już zwolnili? Ośmielił się pokazać po tem wszystkim?

Ale młody człowiek nie spostrzegł weń uporczywego spojrzenia umalowanej damy. Nie zwracając na nikogo uwagi, zajął ostatni wolny stolik, w głębi sali. Dopiero, gdy wybrał jakąś potrawę z karty i zamówił butelkę mineralnej wody, rozejrzał się po obecnych.

— Dziwne... — szepnął.

Zaiste, dziwnego nadal doznawał uczucia. Jakby zbudził się z jakiegoś snu. I ta biała sala ze złoceniami i ta skoczna muzyka i ci nadskakujący kelnerzy...

— Byłem tu kiedyś? Czy nie byłem? — myślał. — Naprawdę, niezwykle!

Wsparł głowę na rękę i tak siedział zamyślony za stolikiem. Nikogo szczególnie nie uderzyło jego tu pojawienie się, a służba, widząc iż gość nie ma zamiaru robić większego rachunku, przestała się nim interesować. Tylko uszminkowana dama nadal z niego nie spuszczała oka. W jej wzroku malowało się teraz nietylko zdumienie, ale i nienawiść.

— On? On?

Lecz, nasz młody człowiek nie widział tego, przepojonego gniewem wzroku. Nadal siedział, daleki od restauracyjnego gwaru i tego sztucznego, nocnego, wesołego życia, jakie panowało dokoła. Siedział obojętny i na wdzięki roześmianych kobiet i na przeginające się w tańcu lubieżnie pary. I długo, zapewne, pozostawały tak, bo jedynie jego celem było spędzić w tym dancingu jaknajwiększą liczbę godzin, by najmniej ich oddzielało go od ranka, gdyby wtem nie nastąpiła nieoczekiwana przeszkoda.

Na progu sali stanął nowy gość.

Średniego wzrostu, gruby, starszawy, łysy pan, o czerwonej twarzy, ozdobionej niewielkim uczernionym wąsikiem. Ubrany był prawie z przesadną elegancją, a na jego palcu połyskiwał wielki, kosztowny brylant.

Typowy bywalec nocnych restauracyj, miłośnik niewybrednej tam zabawy i łatwo dostępnych kobiet jednym słowem jegomość, któremu dobrze powodzi się w życiu i który z tego życia potrafi wyciągnąć odpowiednie rozkosze. Bożyszczce kokot i dancingowych kelnerów.